GONIEC OBOZOWY

Pismo żołnierzy internowanych

ROK V W OBOZIE, DNIA 1 STYCZNIA 1944 R. NR. 1 (81)



Zrywając pierwszą, czerwoną kartkę z nowego kalendarza, będziemy to czynili z uczuciem człowieka, który zdejmuje z oczu opaskę i myśli o tym, jakie się przed nim otworzą horyzonty. I doznajemy ulgi: opadło z nas brzemię piątego, kalendarzowego roku wojny, ale napewno czeka nas nowe. Zanim zastanowimy się, jakim ono będzie, rzućmy okiem wstecz i zmierzmy drogę, jaką już przebyliśmy i gdzie właściwie jesteśmy.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, żeśmy dotarli do punktu, skąd już wyraźnie widać ostateczny wynik zmagań się narodów. Wprawdzie i w ubiegłych latach wmawialiśmy w siebie, że ten rok to już napewno ostatni, ale dziś widzimy, że poprzednie nasze nadzieje oparte były głównie na czynnikach natury uczuciowej. Obecnie dochodzą do nich i czynniki materialne, które można i wyraźnie dostrzec i choćby w przybliżeniu obliczyć ich działanie.

Więc chociaż ubiegły rok był dla nas, Polaków, i cięższy i bardziej złowrogi, niż nie jeden z poprzednich, to jednak nic nie upoważnia do czarnego patrzenia w przyszłość. Ponieśliśmy olbrzymią stratę wskutek śmierci wypróbowanego sternika nawy państwowej, nad naszym wschodnim widnokręgiem skłębiły się czarne, ciężkie chmury, aleśmy i pod tym brzemieniem nie ulegli, jak nie ulegliśmy pod poprzednimi, cięższymi i boleśniejszymi.

Jeszcze raz zdaliśmy egzamin narodowej wielkości, która podziw wzbudza u obcych, zdaliśmy go dlatego, bośmy zjednoczeni może bardziej, niż kiedykolwiek przed tym w dziejach, i świadomi celów, do jakich dążymy. Cel ten to wolność i niepodległość Rzeczypospolitej w nieuszczuplonych jej granicach. Dla tego celu składamy na ołtarzu największe ofiary, które aż nazbyt wymownie świadczą, że na kompromisy i półśrodki nikt w narodzie nie pójdzie. Z tej świadomości celów wypływa nasza siła i uzasadniona wiara w lepsze jutro narodu. Płyną stąd jednakże i obowiązki, od których się nikomu z nas nie wolno uchylić. Naród nasz, jak się wyraził Marszałek Piłsudski, skazany jest na wielkość. Albo ostaniemy się jako naród wielki, albo nas wcale nie będzie. To każdy z nas musi mieć w swej świadomości i odpowiednie z tego wyciągnąć wnioski. Musi być wielki w swoich myślach, zamierzeniach i poczynaniach. To jest obowiązek, którego spełnienia domaga się od nas kraj walczący.

Silni świadomością nieugiętości naszej lat poprzednich, śmiało możemy spoglądać w nadchodzący rok i żywić ugruntowaną nadzieję, że w ciągu jego 12 miesięcy zbierzemy się z całej kuli ziemskiej u naszych ognisk rodzinnych, aby je odbudować na nowo i na długie lata.

Opowiadanie lotnika

POMYŚLNE WIATRY

Jest to wyjątek z dłuższego opowiadania por. pil. L. K. Zestrzelony, przebył on 85 godzin w łódce gumowej na morzu. Poprzednio był 2 lata w niewoli, skąd przybył do Anglii. Pochodzi z Wilna. Opowiadanie poniższe ukazało się w Nr. 20 „Skrzydeł“ z 1943 r

...I oto widzę znacznie poniżej i z przodu --- trzy punkciki. Ja do nich. Rosną w oczach. Lecz tylko trzy --- więc nie moi. Błyskają w słońcu na tle niższej, ciemnej chmurki. Garbią się... pęcznieją w głowach... i już wyraźnie rzeźbią się kształty trzech Fockewulfów.

Serce zaczęło walić niby młotem... Bliżej --- myślę --- bliżej... Jestem zupełnie na tle tarczy słońca, patrząc od nich. Nie powinni mnie zauważyć aż do ostatka... Zacznę od prawego, z bardzo bliska, i będę ich miał wszystkich, zanim się ockną... Wszak zaskoczeni kompletnie.

Obejrzałem się jeszcze do tyłu, czy tymczasem ktoś inny o mnie podobnych marzeń nie snuje?... No, czas... Odległość jakichś 150 yardów (yard --- trzy stopy --- 91,47 cm). Celownik tak wyraźnie świeci na tle ciemnej chmury. Środek ognistego pierścienia kładę nieco na garb kabiny... i zadrżał Spitfire, ziejąc ogniem.

Fockewulf drgnął, przechylił się na prawe skrzydło, ozłocił w słońcu swój czarny krzyż na boku, jakby zamarł bez ruchu... I tylko odległość zaczęła wzrastać między nim a pozostałymi jego towarzyszami.

Więc cóż, za mało ci? --- myślę. Gdzież dym i ogień?... Wszak to jest takie ważne dla naszych »inteligentów« (oficerów wywiadu)... No, to dołożę...

I znów się składam. Odległość minimalna. Celownik pełen krzyża... Naciskam spust... błysnęło... buchnęło... zawirowało...

Widziałem go wszędzie, nade mną i pode mną. Przemknęła myśl, by się nie zderzyć z kawałkami.

Spojrzałem w lewo. Dwa pozostałe są już jakieś 200 m. wyżej ode mnie i z prawego skrętu plują ogniem. Wiać! --- przyszła błyskawiczna decyzja. Robię gwałtowny skręt w prawo w górę. Szybkość ogromna. Czuję, jak wgniata mnie w kabinę, a kolory nieba i ziemi zlewają się w jakąś szarą masę. Mroczy. Przyciskam brodę do piersi --- odruch zapobiegawczy przeciwko mroczeniu. Wzrok wraca. Jeszcze chwila, a dam nura w sam środek tarczy słonecznej, a wówczas już wszystko dobrze... Nie trafią, nie zobaczą mnie na tle słońca. Lecz oto maszyna drgnęła raz i drugi. Wydało mi się, że podwozie otwarło się. Sprawdzam rączkę, patrzę na wskaźniki --- w porządku. Dostałem --- myślę. Czekam dalszych objawów. Może ogień wybuchnie? Głowę mimowoli wciągam w ramiona. Kurczę całe ciało, by zrobić jak najmniejszy cel i skryć je całkowicie za płytę pancerną. Czekam tego nieznanego mi jeszcze uczucia --- trafienia pociskiem. Wtem słońce zalało mi całą kabinę. Nie widzę nic, ani instrumentów w kabinie, ani horyzontu na niebie, mknę w środek słońca.

...Już teraz nie trafią, są tak samo oślepieni, jak ja.

Nagle skoczył Spitfire, jakby szarpnięty jakąś dodatkową siłą, do przodu. To sprężarka się włączyła. Teraz już mam całkowitą moc silnika --- jestem panem sytuacji. Oglądam się poza siebie. Dzieli mnie od mych prześladowców już całkiem bezpieczny dystans. A za chwilę wogóle straciłem ich z oczu. Jeszcze chwila i wpadam na brzeg Kanału, mniej więcej w środku między Le Havre i Cherbourg. Odetchnąłem z ulgą. No, to się udało korsarstwo. Teraz tylko do domu wrócić, a to przecież już drobnostka i - - taki sukces... Zdjęć z tak bliska chyba jeszcze nikt nie przywiózł...

Przełączam radio na nadawanie i ślę meldunek do dowódcy, że miałem walkę i wracam do domu. Słyszę rozmowy dyonu, lecz bardzo dalekie. No, to teraz najkrótszą drogą do domu, myślę. Pozostawiam trochę z lewa zbawienną tarczę słońca, która jakby zamknęła mnie w swoich objęciach, chroniąc przed kulami F. W. (skrót nazwy »Focke-Wulf«). Wdzięczny jej jestem, lecz już teraz czuję się bezpiecznie, widzę brzeg Anglii i nic, zdawałoby się, już mnie nie dzieli od szczęśliwej chwili powrotu i opowiadań o przygodzie.

I właśnie w tej chwili błogiego zadowolenia i wprost dziecinnej radości z przedsmaku opowiadań o sukcesie, nagle, jak grom z jasnego nieba, przerwanie silnika postawiło wszystkie moje włosy dęba. Fala ciepła i zimna kolejno uderzają mnie w twarz. Myśli tłoczą się gorączkowo do głowy. Może ciśnienie benzyny spadło na wysokości? Przełączam ciśnienie, przestawiam manetki na wszelkie możliwe kombinacje --- lecz nic nie pomaga. Śmigło obraca się tylko pędem powietrza. Naciskam guzik wskaźnika ilości benzyny. Nieubłagana rzeczywistość dochodzi do mej świadomości w postaci zera na zegarze. Szukałem przyczyny defektu silnika wszędzie --- tylko nie w braku paliwa. Przecież powinienem go mieć minimum jeszcze na pół godziny?! Lecz zegar mówi wyraźnie a silnik potwierdza jego wskazania kategoryczną odmową dalszej pracy. --- Cóż dalej? --- Mam 25000 stóp wysokości. Brzeg francuski pode mną, a od Anglii dzieli mnie jeszcze prawie 100 mil wody (jedna mila angielska --- 1760 yardów --- 1609 m). Ratować życie, zawrócić i siadać we Francji --- to znaczy iść do niewoli. Skakać do morza tak daleko od Anglii przed zapadnięciem nocy --- to wielka niewiadoma...

— O Boże! Czy stworzyłeś mnie na niewolnika? Wszak dwa lata spędziłem w ciężkiej niewoli. Cudem mnie żywego stamtąd wyrwałeś, by ziścić me sny o walce. I oto tak mało dałeś mi zrobić, a ja tak dużo winien jestem Ojczyźnie! Ratując inne drogie mi życie, wróciłem do Polski po Jej upadku i przypłaciłem to dwuletnim więzieniem. Długie koszmarne noce w więzieniach osładzały mi sny cudne --- o walce i śmierci z honorem jako wolny, walczący Polak. Więc sny się ziściły! Nie umrę w niewoli!

Naciskam guzik i wołam »May Day«. Za chwilę nawiązałem już kontakt z kontrolerem Ops. Room (operations room --- izba lotów bojowych). Namierzają mnie. Wszystko idzie sprawnie, ten żywy głos z Anglii przyniósł mi trochę otuchy. Rozmawiam zupełnie spokojnie. Nadaję fixy, a w międzyczasie opowiadam o wszystkim, co się zdarzyło, że miałem walkę, że zestrzeliłem jednego, że bardzo mi szkoda zdjęć, które przyjdzie utopić wraz z samolotem. Planuję dość długo. Wydaje mi się, że minąłem po-

łowę Kanału. Kontroler podaje mi kurs. Właśnie ten kurs utrzymywałem od początku. Radzi mi skakać z 4000 stóp. Odpowiadam, że »rozmieniłem już ostatni dziesiątek«.

Nieubłagana chwila zbliża się. Przygotowuję się. Zdejmuję rękawicę, otwieram budę kabiny i drzwiczki. Minąłem już chyba dwie trzecie Kanału. Odpasowuję się, jeszcze raz mówię do kontrolera, że za chwilę będę skakał. Odpowiada: »Jesteś już niedaleko, nie będziemy cię długo trzymać w wodzie«. Zdejmuję haubę, a z nią i mikrofon. Łączność ze światem zerwana. Wysokościomierz wskazuje 5000 stóp. Duszę maszynę do nabrania większej szybkości... Szepczę: »Boże ratuj!« Zaczynam przewracać maszynę na plecy. Czuję, jak wytwarzające się siły odśrodkowe wyrzucają moje ciało na prawą burtę. Już do połowy jestem nazewnątrz. Nogi spadły z orczyka. Drążek sterowy wyrwało mi z rąk, a maszyna nie jest jeszcze na plecach. I teraz, nie sterowana przeze mnie w półobrocie na plecy pikuje do wody, a pęd powietrza przyciska mnie do tyłu kabiny. Robię rozpaczliwe ruchy, by złapać się za cokolwiek i wyrzucić na zewnątrz, lecz to mi się nie udaje. Szamocę się. Strach przed zbliżającą się wodą wzrasta. — Czyżby taki koniec! — myślę. Wtym udało mi się oprzeć nogę o coś twardego w kabinie. Skurczyłem się cały i z całych sił wyprostowałem się tak, jak sprężyna. Powietrze przestało gwizdać mi w uszach — byłem poza samolotem. Ręka szuka pośpiesznie rączki spadochronu. Nagłe szarpnięcie — i zawisłem pod białą czaszą. Westchnienie ulgi.

Brzegu nie widać. Spojrzałem wdół, by ocenić odległość od wody. Wzburzone morze napełnia mnie przerażeniem. Uruchamiam butelkę napełniającą »Mae Westkę« (kamizelka ratownicza). Butla przestała »syczeć«, lecz na oko widzę, że »Mae Westka« zamało napełniona. Chcę dopompować ustami przez wąż, lecz już nie ma czasu. Białe zwały piany są tuż pod nogami. W następnym momencie czuję zetknięcie się z wodą. Uderzam po klamrze, by się z pasów uwolnić i zanurzam się całkiem pod wodę. Zaczynam pracować rękami, by się wydostać na powierzchnię, a po chwili widzę, jak więdnie czasza spadochronu na środku niby góry-fali i oto wraz z całą masą wody zostaje rzucona wprost na mnie. Moje nogi zaplątały się w linki spadochronowe i tonący już spadochron ciągnie mnie za sobą.



Dinghy na morzu

Co chwila fale zalewają mnie z głową. Zgarniam nogami linki z mych nóg, pomagam rękami odplątać się z nich, ale tonę, gdy tylko pływać rękami przestaję. »Mae Westka« prawie wcale nie trzyma. Fale uderzają mnie w twarz. Już piję słoną, gorzką wodę, już kaszlę. Podciągam dinghy (łódka gumowa), by ją uruchomić. Jeszcze butli nie znalazłem, a już muszę ją zostawić, by znów na powierzchnię wody się wydostać. Wreszcie po kilku próbach mam butlę już w ręku na moment, ale przetyczki korka znaleźć nie mogę. I znów ją rzucam i pływam rękami, kaszląc i zachłystując się. Czuję, jak siły mnie opuszczają. Robi się szaro. Dookoła trzymetrowe ściany wody.

Znów zbieram resztki sił i podciągam dinghy po sznurze, znów szukam przetyczki. Kręcę napróżno nieruchomy korek. Drapię z rozpaczą paznokciem każdą śrubkę, lecz wszystko napróżno. I znów jestem pod wodą. Więc rzucam dinghy i wydobywam się na powierzchnię.

Wtem mewa zawisła nade mną, przekrzywiła główkę na bok i patrzy. O ptaszku! Widziałeś już nie jedną taką tragedię... A ona krzyknęła coś na pożegnanie i odleciała. Więc to chyba koniec — myślę. Taki jest koniec drugiej wojny światowej dla mnie. A jutro będzie w gazecie: »Jeden myśliwiec nie powrócił« — Czyż kto wie, prócz tych, co »nie powrócili«, ile rozpaczy i zgrozy zawiera to słowo. Lideczko, w ten sposób wdową zostaniesz...

I myśl o niej znów mi siły do walki wróciła. Dinghy obciąga mnie w dół. Bezużyteczny balast — myślę — może odczepić? Popływam na samej »Mae Westce«, dodmuchawszy ją więcej. I już znalazłem ręką karabińczyk od taśmy, próbując odczepić — jakoś nie mogę. A no, sprobuję jeszcze, po raz ostatni, zanim ją rzucę. Podciągam bezkształtną masę gumy, odnajduję butlę i spostrzegam kółko druciane, odchylone od korka. Jeden ruch i kółko wyrwane, korek przekręcony i butla syczy. Boże, dzięki Ci — modlę się głośno. Dinghy nabiera kształtów tak upragnionych. Zaczynam włazić do niej, lecz to sprawa nie taka prosta.

Trzymając się za rączki dinghy, pływałem czas jakiś, odpoczywając. Następnie wziąłem się za dwie dalsze rączki i wciągnąłem się do połowy. Wreszcie zebrawszy dostateczną ilość sił, obróciłem się i usiadłem właściwie. W głowie mi się kręci. Co chwila targają wymioty.

Jest już prawie ciemno. Wyczerpuję wodę z dinghy. Rozgrzewam się nieco robotą. Zapinam fartuch na nogach, naciągam tylny z kapturem na głowę, chowam zmarznięte ręce pod fartuch no i myślę — byle do rana wytrzymać. Z rana przylecą i wyłowią. Wtem przerażenie przerwało moje słodkie marzenia o ratunku. Oto fala, jak dom wielka, mknie wprost na mnie. Tony wody zwaliły się na mnie, a potężne uderzenie przewróciło moją dinghy do góry dnem. Już zachłystuję się wodą, wisząc w dół głową pod wodą. Strach śmiertelny ogarnia.

Rozpaczliwym wysiłkiem szarpnąłem i rozdarłem tylny fartuch, krępujący ramiona i ręce. Wyjrzałem spod dinghy, zaczerpnąłem powietrza i znów walczę pod wodą, aby uwolnić nogi. Wreszcie uwolniłem się całkowicie. Z trudem odwróciłem dinghy i znów na raty, nabierając sił po każdym ruchu, wlazłem do niej. Uwiązałem się na długim sznurku do dinghy i następne razy, gdy mnie przewracało, a było ich siedem w ciągu nocy, nie miałem już obawy zgubienia dinghy, ani trudności w wydobyciu się spod niej.

Teraz los mój w moich ręku, myślę. O świcie ratunek pewny. Tylko wytrwać do świtu. Nie dać się falom. Postanowiłem wygrać tę walkę o życie... *Lew. K.*

SPRAWY POLSKIE

DOOKOŁA KONFERENCJI W TEHERANIE

Dawno oczekiwane spotkanie Roosevelta, Churchilla i Stalina doszło wreszcie do skutku w Teheranie. Oficjalne komunikaty, dotyczące tej konferencji, są ze zrozumiałych względów tak skąpe, że trudno z nich wiele wywnioskować. Mówią one o ustaleniu zasad wojskowego współdziałania, mającego doprowadzić do ostatecznej klęski Niemiec, nadto zaś o uzgodnieniu szeregu zagadnień powojennych, co wskazywałoby na to, że sprawa Polski została tam poruszona.

Dla wywnioskowania wytycznych, jakimi kierowano się w Teheranie, charakterystycznym wskaźnikiem jest uzgodnienie sprawy Iranu. Przedstawiciele trzech mocarstw stwierdzili mianowicie w oficjalnym komunikacie, że uznają dążenia Iranu do zachowania niepodległości i liczą na współudział Iranu w zapewnieniu przyszłego pokoju, bezpieczeństwa i dobrobytu wszystkich narodów »zgodnie z zasadami Karty Atlantyckiej, której wszystkie rządy pozostają nadal wierne«. To ostatnie stwierdzenie ma dla nas szczególne znaczenie, co też podkreślił premier Mikołajczyk, omawiając osiągnięcia konferencji w Teheranie w następujący sposób:

> »Polska, która poczyniła w czasie licznych wojen gorzkie doświadczenia, życzy sobie z głębi serca nie tylko szybkiego zwycięstwa, ale i trwałego pokoju. Dlatego przywiązujemy szczególne znaczenie do owych punktów oświadczenia, które podkreślają, że pokój ma być trwały. Będzie on o tyle trwalszy, o ile --- jak to mówi oświadczenie trzech mocarstw --- dojdzie do rzeczywistej współpracy i aktywnego udziału wielkich i małych narodów w wielkiej rodzinie państw demokratycznych. Szczególnie głęboki oddźwięk znalazło w sercach polskich stwierdzenie woli dochowania wierności zasadom Karty Atlantyckiej dla usunięcia tyranii, niewolnictwa, nietolerancji i ucisku. Pokój, jeśli ma być trwały, nie może być zbudowany na jakiej kolwiek krzywdzie, a więc i na krzywdzie terytorialnej. Jestem przekonany, że te metody, zastosowane w innych, podobnych wypadkach, wydadzą jak najlepsze skutki przy tworzeniu trwałego pokoju i osiągnięciu po wojnie jedności między narodami«.

Dla osiągnięcia trwałego pokoju konieczne jest nawiązanie normalnych stosunków między Polską a Rosją. Polska dążyła i dąży do porozumienia z Rosją, stwierdzając to przy każdej okazji. Dla osiągnięcia tego porozumienia Polska gotowa jest uczynić wszystko możliwe, każdy jednak rozumie, że nie jest możliwym wyrzeczenie się połowy kraju ani zgoda na mieszanie się czynników zewnętrznych do naszych spraw wewnętrznych. Tymczasem rosyjskie czynniki oficjalne milczą (wyjątek stanowią wynurzenia ambasadora Umanskiego, mówiącego o granicy polsko-rosyjskiej, opartej o niemiecko-rosyjskie porozumienie z r. 1939), a radio i prasa, szczególnie dziennik »Wojna i Klasa Pracująca«, mówi stale o granicy, pokrywającej się z rozbiorem Polski z r. 1939, a równocześnie napada na rząd polski. Kwestionowanie naszych granic i mieszanie się do naszych stosunków wewnętrznych w formie domagania się ustąpienia prawowitego, demokratycznego rządu i zastąpienia go takim, który odpowiadałby Rosji, jest niedopuszczalne, jeśli w świecie mają rzeczywiście zwyciężyć zasady demokracji, a o nie toczy się przecież obecna straszna wojna. Doświadczenie własne z XVIII wieku i doświadczenia państw bałtyckich, poczynione w tej wojnie, uczą dostatecznie, czym kończy się uleganie takim żądaniom, to też wysuwanie ich nie może w żadnym wypadku stworzyć atmosfery zaufania, koniecznej do nawiązania dobrych sąsiedzkich stosunków.

Miejmy nadzieję, że sprawy polskie znalazły w Teheranie wszechstronne i zgodne z Kartą Atlantycką naświetlenie i że ostatecznie dojdzie do nawiązania dobrych stosunków między Polską a Rosją. Pragniemy wierzyć, że rozmowy naszych wielkich przyjaciół, prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla, nie pozostaną bez wpływu na marszałka Stalina. Być może, że podpisany ostatnio w obecności prezydenta Benesza pakt przyjaźni między Rosją a Czechami, wykorzystany zostanie do nawiązania stosunków Rosji z Polską której współdziałanie jest w wymienionym pakcie przewidziane. Należy liczyć się z tym, że W. Brytania i Stany Zjednoczone dopomogą w nawiązaniu stosunków. Do liczenia na pomoc Wielkiej Brytanii upoważnia nas przymierze zawarte w r. 1939 i olbrzymi wkład Polski do obecnej wojny. Warto również przypomnieć, że nota Rządu Brytyjskiego do Rządu Polskiego, wręczona przez p. Edena gen. Sikorskiemu 30 lipca 1941, głosi:

»W związku z podpisaniem w dniu dzisiejszym układu polsko-sowieckiego pragnę... zapewnić Pana, że Rząd J. Kr. Mości nie uznaje żadnych zmian terytorialnych, dokonanych w Polsce od sierpnia 1939«. O tym, że możemy liczyć na przychylność Stanów Zjednoczonych, świadczyły liczne, dochodzące nas stamtąd głosy, do których dodajemy następujące:

PREZYDENT ROOSEVELT O POLSCE

Poseł do Izby Reprezentantów (republikanin) Monkiewicz wystosował do Prezydenta Roosevelta list, w którym m. in. napisał:

> »Zbliża się czas, kiedy trzeba powziąć decyzję w sprawie żądań rosyjskich. Podczas obecnych konferencyj zapadną doniosłe postanowienia. Odwołuję się do Pana o rozważenie położenia Polski. Polska była przez ostatnie dwa lata przedmiotem dyskusyj narzuconych demokracjom przez Rosję. Nie poruszam spraw prawnych, ani zagadnienia konieczności politycznej, jaką jest przywrócenie całej nie-

---

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

PANIE

Może nasz krzyk o łaskę nieba
Zanadto Cię do ziemi zbliża,
Lecz, Wszechwiedzący, spójrz, jak trzeba
Nam do pomocy Twego krzyża.

Może nasz pacierz przy Twym tronie
Zbyt prosto boskość uczłowiecza,
Lecz, Sprawiedliwy, w tej obronie
Krzyże podobne są do miecza.

Może nie według myśli Twojej
Słowem modlimy się zwodniczym,
My, co w niezłomnej nawet zbroi,
Przy gwiazdach Twych jesteśmy — niczym.

uszczuplonej, silnej i niepodległaj Polski. Wierzę, że ten punkt widzenia jest Panu znany z wielu oświadczeń, które zostały złożone w tej sprawie w Izbie Reprezentantów przez moich kolegów i przeze mnie samego«.

Prezydent Roosevelt tak odpowiedział:

»Przeczytałem Pański list z zainteresowaniem i całkowicie oceniam Pana troski co do przyszłości Polski. Od chwili nie sprowokowanego napadu, dokonanego przez hitlerowców, widziałem doświadczenia rycerskiego narodu polskiego i jego mężną walkę. Przypomina Pan sobie, że omawiałem z gen. Sikorskim całokształt sprawy polskiej. Na podstawie informacyj otrzymanych od gen. Sikorskiego, wiadomości, które ciągle otrzymuję od Rządu polskiego i z innych źródeł, zapewniam Pana, że śledzę całkowity rozwój wydarzeń. Instytucje rządowe Stanów Zjednoczonych i prywatne organizacje amerykańskie przesłały znaczne ilości artykułów żywnościowych, lekarstw i odzieży dla Polaków w Rosji oraz dla 30,000 a może i więcej Polaków, którzy wyjechali z Rosji. Wspaniały, nieprzerwany opór polskich sił zbrojnych i narodu polskiego przeciwko ciemiężcom hitlerowskim zdobyły trwałą wdzięczność i podziw wszystkich ludów miłujących wolność. Zrobię wszystko, co leży w mej mocy, aby doprowadzić do sprawiedliwego i trwałego pokoju, opartego na wzajemnym porozumieniu i poszanowaniu«.

WENDEL WILLKIE O CELACH WOJNY

Dla charakterystyki nastrojów w Stanach Zjednoczonych warto również powołać się na książkę pt. »Niepodzielny Świat«, w której Wendell Willkie mówi m. in., że spełnienie się wiary w to, iż narody zjednoczone walczą o polityczną i gospodarczą wolność wszystkich krajów, jest probierzem dobrej woli w tej wojnie. »Ludzie --- mówi dalej Willkie — muszą odnosić się do przyszłości z entuzjazmem i mieć przekonanie, że sztandary, pod którymi walczą, mają czyste i jasne barwy«.

Słuszne to twierdzenie znajdzie zrozumienie u każdego Polaka. W decydującej chwili wojny naród polski musi wiedzieć, że jego walka nie będzie daremna.

AMERYKA WOBEC POLSKI

O serdecznym stosunku społeczeństwa amerykańskiego do Polski świadczy m. in. wspaniały pochód polskiego święta niepodległości w Nowym Yorku. Dnia 11 listopada ub. r. burmistrz Nowogo Yorku, La Guardia, wyraził przekonanie, że w właściwym czasie sprawa polska będzie potraktowana z taką samą troskliwością i sumiennością, z jaką załatwiane będą wszystkie inne zagadnienia na konferencji pokojowej. Rezolucja, uchwalona podczas manifestacji, była wyrazem wiary w zapewnienie Polsce niepodległości i granic, jakie posiadała przed wybuchem wojny.

NACZELNY WÓDZ NA ŚR. WSCHODZIE

O trwałym pokoju będzie jednak można mówić dopiero po ostatecznym zwycięstwie, które trzeba najpierw wywalczyć. Do tego zwycięstwa przyczynią się również polskie siły zbrojne, czekające na tę chwilę w Wielkiej Brytanii i na Średnim Wschodzie, których inspekcji dokonał ostatnio gen. Kazimierz Sosnkowski. Na pożegnanie Naczelny Wódz wydał następujący rozkaz:

„ŻOŁNIERZE ARMII NA WSCHODZIE!

Przybywam do Was w okresie przełomowym w życiu Wojska Polskiego. Szeregi nasze — Wy stąd, ze Wschodu, i Wasi towarzysze broni z Wielkiej Brytanii — staną w ogniu walki. Długo i z niecierpliwością czekaliśmy na ten dzień, tak dla serc żołnierskich upragniony. Nie jesteście żołnierzem młodym i niedoświadczonym. Są wśród Was weterani kampanii wrześniowej, którzy, niedostatecznie uzbrojeni, w obliczu przytłaczającej przewagi wroga, spełnili swój żołnierski obowiązek, walcząc do ostatka w beznadziejnych niemal warunkach. Są między Wami weterani, którzy do kart kampanii polskiej, norweskiej i francuskiej dopisali chlubną stronicę kampanii afrykańskiej. Uporczywość obrony Tobruku i rozpęd bojowy w natarciu na Gazalę wzbudziły uznanie i szacunek wśród Wojsk Sprzymierzonych. Ciężkie cierpienia, doznane przez Was w ciągu lat ostatnich, zahartowały Was i wzmocniły duchowo. Z ufnością przeto patrzę w przyszłość bojową zespołu, stworzonego z żołnierzy, którzy wykazali tak wysoki poziom moralny. Idziecie na nowe boje odpowiednio przygotowani. Otrzymaliście najnowszą i najlepszą broń. Rozporządzacie bogatym i różnorodnym sprzętem bojowym. Wiem, jak wiele zapału i pracy włożyliście w przygotowanie się do oczekujących Was zadań. Nowoczesna walka nie stanowi już dla Was niepokojącej tajemnicy. Niezbędne doświadczenie praktyczne zdobędziecie na polu walki. Ze swej strony w czasie obecnej podróży starałem się uzyskać dla Was odpowiednie warunki pracy bojowej, w ramach Aljanckich Sił Zbrojnych. Reszta należy do Was. Będę odwiedzał Was na froncie możliwie często. Jestem przekonany, że Wasze czyny bojowe pomnożą sławę Oręża Polskiego. Żołnierze! Idąc w bój, pamiętajcie, że przeżywamy czasy, które rozstrzygną o losie naszego Narodu i Państwa na długie lata. Pamiętajcie o Waszych towarzyszach broni, walczących w kraju z podziemia, samotnie, bez sławy i rozgłosu, wśród najgorszych tortur fizycznych i moralnych. W porównaniu z innymi — jesteście wybrańcami losu, którym dane jest zmierzyć się z odwiecznym wrogiem w otwartym boju. Macie podać rękę pomocną Armii Krajowej. Pomaszerujecie szlakiem, znanym dobrze z dziejów ojczystych. Imieniem żołnierza polskiego rozbrzmiewał przed stu laty z górą świat cały. Wierzę, że zaniesiecie do Ojczyzny sztandary okryte nową chwałą wojenną. Przybyłem do Was, by osobiście odwiedzić Wasze szeregi przed tą drogą żołnierską — trudną, ale chwalebną i — daj Boże — zwycięską".

KRAJ WALCZY I CIERPI

Rząd polski posiada dowody, świadczące o masowej egzekucji Polaków w woj. białostockim. 1000 osób poniosło śmierć za zastrzelenie urzędników i żołnierzy przez nieznanych sprawców. Dwie wsie zostały spalone, a ich mieszkańcy rozstrzelani. Nadto wybrano z każdego miasta woj. białostockiego po 19 znaczniejszych obywateli i rozstrzelano ich wraz z ich rodzinami.

ZASTĘPÓW

Ale żeś moc zadeptał węża,
Co z piekła rodem wiedzie w piekło,
Daj nam swą łaskę: cios oręża
Nad naszą próbą niedociekłą.

Twarde pancerze i okręty,
Działa skrzydlate, kule, ołów,
Daj wiernym ludom, Królu święty
Niebieskich wojsk i archaniołów.

I mieczem swym wyprowadź pokój,
Panie Zastępów, z mroku wojny,
Ukaż się w chmurach, wyprorokuj
Nadzieję ziemi bogobojnej.

ŚWIAT W OGNIU

SZANSE POKOJU

Od dnia 9 grudnia 1943 obecna wojna światowa trwa już dłużej niż poprzednia. Jest tedy rzeczą zrozumiałą, że umęczony świat coraz usilniej wyczekuje pokoju i że pojawiają się na ten temat co raz to nowe pogłoski. Jednakowoż -- realnie oceniając położenie --- trudno liczyć na przerwanie działań wojennych już w najbliższych tygodniach. Wydaje się natomiast, że możemy nadzieje nasze oprzeć na ostrożnej lecz ufnej wypowiedzi Churchilla, wygłoszonej w Kairze około 8. XII wobec żołnierzy jego dawnego pułku.

»Wojna toczy się dalej w sposób zadowalający, lecz nie wolno nam nie doceniać uporu przeciwnika, który w zręczny sposób kontynuuje walkę. Oczywiście zostanie on pobity i nie ma tu dlań nic do śmiechu, ale będzie on stawiał opór do upadłego. Spodziewam się, że w r. 1944 załatwimy się z nim ostatecznie«.

A zatem istnieją dość mocne podstawy, ażeby już w reszcie na ten nowy rok oczekiwać końca wojny, przynajmniej w Europie --- bo Daleki Wschód to inne zagadnienie. Zastanówmy się, jakie mogą być wstępne warunki zawarcia pokoju.

Zarówno niedawna konferencja w Moskwie jak i historyczne spotkanie »wielkiej trójki« (Churchilla, Roosevelta i Stalina) w Teheranie potwierdziły, że Narody Zjednoczone będą obstawać przy bezwarunkowej kapitulacji Niemiec i że spodziewają się wymusić to rozbiciem niemieckich sił zbrojnych i przemysłu. Szczególnie mocno rozbrzmiewa to hasło w Anglii, gdzie najbardziej żywa jest pamięć o fatalnych błędach z roku 1918 i gdzie tym razem zamierzają wygrać nie tylko wojnę ale i pokój. Jak ten cel osiągnąć? Oprócz zupełnego rozgromienia niemieckiej siły zbrojnej musi nastąpić zniweczenie nacjonal-socjalizmu i wszystkiego, co jest związane z pruską kastą wojskową, tym ciągłym zarzewiem wojen zaczepnych. Odnośnie do powyższych zasad zdaje się panować w W. Brytanii całkowita jednomyślność, a natomiast spore różnice zarysowują się co do zakresu kary na »war criminels« (zbrodniarzy wojennych). Na ogół angielska opinia publiczna przeciwna jest takim krokom, które by wyglądały na odwet i zemstę, a nie na sądowy wymiar sprawiedliwości względem najbardziej winnych niemieckich przywódców i wykonawców.

Przekonanie, iż Niemcy bronić się będą do ostatka, nie jest podzielane przez niektóre koła polityczne i gospodarcze zarówno w Anglii jak w Ameryce. W kołach tych sądzi się, że generałowie niemieccy nie zechcą zbytnio przedłużać szeregu klęsk, po mniejszających ich chwałę. Ponieważ zaś w Niemczech istnieje bliski związek między kastą oficerską a ciężkim przemysłem, a niepowodzenia na polu walki idą w parze z planowym i nieustannym druzgotaniem niemieckich ośrodków przemysłowych — co może zgubnie zaważyć także na czasach powojennych — możliwe jest, zdaniem owych kół, wywołanie przez zjednoczone oba te czynniki przewrotu i wcześniejszego zakończenia wojny.

PRZEWIDYWANIA NA ZIME

Jakkolwiek się te sprawy rozwiną, wydaje się, że narazie jest jeszcze nawet w Europie za dużo paliwa, aby wojenna pożoga mogła niespodziewanie zagasnąć. Na najbliższe miesiące liczyć się musimy tak z sowiecką ofensywą zimową jak z brytyjsko-amerykańską ofensywą lotniczą, a nie możemy też tracić z oczu możliwości niemieckiego odwetu przy użyciu uparcie zapowiadanej »tajnej broni«.

Ofensywy zimowe stały się w tej wojnie specjalnością rosyjską, należy się więc spodziewać, że i obecna zima przyniesie armii czerwonej sukcesy. Dla nas Polaków jest to sprawa szczególnej wagi, gdyż bezpośrednie działania wojenne mogą już wkrótce dojść do naszych granic — a byłby to już trzeci nawrót niszczącej fali.

Drugie dominujące zagadnienie na bieżącą zimę to dalsze prowadzenie od zachodu wielkiej ofensywy lotniczej, która od ubiegłego listopada znowu osiągnęła wysokie napięcie, główny znajdując wyraz w druzgocących nalotach na Berlin. Czynniki kierownicze RAF zapowiadają, że ataki tego rodzaju potrwają przez całą zimę — co jest bardzo prawdopodobne dzięki wciąż rosnącej produkcji sprzętu i coraz większej ilości wyszkolonych lotników, przy procentowo malejących stratach bojowych.

Jeśli bowiem przed rokiem (np. wielki nalot na Kolonię) utrata 1 samolotu przypadała na 30 ton zrzuconych bomb, to w ostatnich zagonach na Berlin atakujący tracili zaledwie 1 maszynę na każde 90 ton. Natomiast produkcja lotnicza Stanów Zjednoczonych — tej głównej zbrojowni Sprzymierzonych — w r. 1943 wyniosła 80.000 samolotów, z czego rekordowych 9.000 w samym tylko listopadzie; na rok 1944 zapowiedziany jest dalszy wzrost o najmniej 20% (do 11.000 miesięcznie ?).

W tych warunkach pewnym jest, że zimowe natężenie ofensywy powietrznej na Niemcy zależne będzie więcej od pogody niżeli od skuteczności niemieckiej obrony. Warto tu przytoczyć ciekawe porównanie ze źródeł brytyjskich. W okresie najgwałtowniejszych nalotów niemieckich na Londyn padało tam 1,5 tony bomb na godzinę i na kilometr kwadratowy; natomiast eskadry RAF w swych atakach na Niemcy osiągają 120 ton na godzinę i km kw. Jest to natężenie 80 razy większe, a wiele wskazuje na to, że będzie ono nadal raczej rosnąć niż maleć.

WSZYSTKIM, KTÓRZY NADESŁALI MI ŻYCZENIA Z OKAZJI ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA I NOWEGO ROKU SKŁADAM NAJSERDECZNIEJSZE PODZIĘKOWANIE

Dowódca 2. DSP.
PRUGAR-KETLING
gen. bryg.

WIEDZA O WOJNIE

Tajna broń...

Wobec ogromnych zniszczeń i wielkich strat w ludziach Niemcy podnoszą głos, że dłużej nie zniosą tego „powietrznego rozboju“ i co raz to grożą Anglii strasznym odwetem przy użyciu jakiejś nowej a potężnej broni. Różne snują się na ten temat przypuszczenia i domysły. Mogą to być torpedy powietrzne o napędzie rakietowym, kierowane z dużej odległości falami radiowymi. Może być artyleria o bardzo wielkiej donośności, strzelająca pociskami rakietowymi; jest np. mowa o olbrzymim miotaczu, który by strzelał na odległość jakichś 200 km pociskiem o wadze 4 ton... Mogą wreszcie być gazy trujące albo bakterie siejące zarazę...

Groźby niemieckie należy brać poważnie, bo możliwości dla wynalazców istnieją szerokie, a w pogarszającej się sytuacji Niemcy odważą się na wszystko. Trudno sobie jednak wyobrazić, ażeby oni zdołali zastosować coś takiego, na co przeciwnik nie byłby zupełnie przygotowany i na co w niedługim czasie nie potrafiłby dać należytej odpowiedzi — jak to już z początkiem wojny było z minami magnetycznymi, a jak ostatnio znalazł się sposób nawet na plagę łodzi podwodnych. Co do gazów trujących i duszących, Niemcy zaskoczyli nimi nieprzyjaciela już w poprzedniej wojnie światowej i niewiele wskórali przez to naruszenie umowy międzynarodowej; obecnie zaś, wobec wyraźnej przewagi lotniczej Sprzymierzonych, użycie takiej broni byłoby dla Niemiec niebezpieczne.

Nowa broń, zwłaszcza jeśli jest użyta niespodzianie a masowo przez jedną ze stron wojujących, daje jej zwykle dużą przewagę bojową, jaką np. karabiny odtylcowo nabijane dały w wojnie 1866 r. piechocie pruskiej nad austriacką. Podobnie czołgi walnie się przyczyniły do klęski Niemców w r. 1918, kiedy oni sami broni tej nie docenili, — a do ich zwycięstw w latach 1939/40, kiedy tenże błąd popełnili ich przeciwnicy. Jednakże historia wojen bodaj nie zna wypadku, aby w walce równorzędnych i wszechstronnie przygotowanych przeciwników jakaś nowa broń mogła sama przez się przechylić szalę wymykającego się zwycięstwa.

A zatem trzeba sobie powiedzieć, że Niemcy jeszcze na pewno zastosują nieznane dotąd narzędzia lub przynajmniej sposoby walki. Jest jednak mało prawdopodobne, by przez to zdołali odmienić bieg, jaki wojna ta przybrała w r. 1943.



Zbójnicki (do artykułu poniżej)

Maryna gra w Posthornie

Obracam w zamyśleniu papierosa w palcach, słuchając wyjaśnień, którymi się ze mną dzieli por. M. B., kierownik zespołu żołnierskiego teatru DSP „Maryna“. Liczba przedstawień w obozach osiągnęła już setkę...

Sto przedstawień. Jubileusz. Lecz ile za tą liczbą kryje się treści, ile wysiłków, ile dobrej woli, a może też i zawodów... To nie teatr czy teatrzyk w normalnych warunkach, kiedy budynek stoi na miejscu, kiedy dekoracji i rekwizytów nie trzeba wozić czy nosić z sobą, kiedy aktorzy śpią i jedzą jak należy. Teatr dywizyjny to — wczoraj Dättwil, jutro w Neuenhof, a po dwóch czy trzech dniach w Niederweningen czy w innym jakimś obozie. A za każdym razem przejazd, transport bagażu, droga do obozu, przygotowywanie sceny, oświetlenia, kłopoty z zakwaterowaniem, z ogłoszeniami, sprzedażą biletów, z ustalaniem ich ceny w zależności od lokalnych warunków itp. To wszystko rozkłada się w ten czy inny sposób na cały zespół, wyczerpuje ich siły nerwowe i fizyczne. Dobrze jeszcze, kiedy zespół witany jest z sercem, bo czasami się zdarza także inaczej...

Reakcja widzów bywa najrozmaitsza. Por. B. uważa, że można ich z grubsza podzielić na trzy grupy: publiczność cywilna, najwdzięczniejsza, bo jej się zazwyczaj wszystko podoba, dalej spragniony polskiego słowa i tańca tłum żołnierski, oraz bardziej krytycznie nastawieni inteligenci wszelkich stopni. Lecz ostatecznie dla kogo się gra, kogo mając głównie na względzie? Chodzi przede wszystkim o dostarczenie rozrywki najszerszym warstwom żołnierskim i dla tego celu opłaca się każdy wysiłek. Jak ten na przykład, kiedy zespół z wysiłkiem gramolił się na wysokość półtora tysiąca metrów i grał tam przy naftowych lampach, — lecz jakaż była reakcja widzów, jaka satysfakcja moralna grających!

WIEŚCI Z FRANCJI

Bombardowanie Sprzymierzonych we Francji wyrządzają coraz większe szkody. W Nantes np. wskutek ostatnich nalotów piąta część miasta leży w gruzach. Tysiąc domów mieszkalnych jest zupełnie zniszczonych, 3,500 zaś nie nadaje się do użytku. Liczba wyewakuowanych z tego miasta wynosi 100,000, poszkodowanych zaś przez naloty 65,000. W październiku marszałek Pétain przyjął grupę merów z okręgu Angers. Burmistrz Saint Nazaire złożył taki meldunek: »Panie marszałku, nie ma już Saint Nazaire. Wydajemy tu dzisiaj 500 kart żywnościowych, podczas gdy dawniej miasto liczyło 45.000 mieszkańców«.

MODANA --- niejednemu z nas znana z przejazdu przez granicę włosko-francuską --- cała leży w gruzach. Już pierwszy nalot Sprzymierzonych w dniu 17 września 1943 roku wyrządził miastu wielkie szkody i zmusił większość jego mieszkańców do szukania bezpieczniejszych siedzib. Dzieła zniszczenia dopełnił jednak dopiero nalot z 11 listopada ub. r., rozpraszając ostatni tysiąc ludności. Na miejscu pozostał tylko burmistrz, rada miejska i telefonistka, razem około trzydzieści osób z ogólnej liczby 7 tysięcy mieszkańców, których Modana liczyła przed wojną. W chwili ostatniego nalotu na dworcu w Modanie stały dwa pociągi, przepełnione żołnierzami niemieckimi. Oba pociągi zostały zniszczone bombami, przyczem 600 Niemców poniosło śmierć.

TULON --- miasto tragiczne. W dniu 27 listopada 1942 roku przeżył on jedną z najczarniejszych chwil w dziejach Francji --- zatopienie floty, będącej dumą i nadzieją całego narodu, a wielkim atutem w rękach rządu Vichy. W niespełna rok pózniej wskutek sabotażu czy też przypadku nastąpił w przemysłowej dzielnicy miasta Laubiere wybuch zbiornika gazu, który pociągnął za sobą wiele ofiar w ludziach i ogromne szkody materialne. Siła wybuchu była tak wielka, że w promieniu kilku kilometrów szyby potrzaskały w oknach. Położone obok gazowni budowle zarysowały się, wiele starych domów zawaliło się, grzebiąc pod gruzami kobiety, dzieci. W parę dni później, dokładnie na dwa dni przed tragiczną rocznicą zatopienia floty, bombowce Sprzymierzonych dokonały niszczącego nalotu na miasto. O godzinie 13 zawyły syreny. Ludność, przywykła do częstych alarmów, nie spieszyła się do schronów i z ciekawości, a nie z obawy spoglądała w niebo. Od strony morza ukazały się trzy wielkie formacje bombowców. W dwie minuty później odezwały się działa przeciwlotnicze i jednocześnie pierwsze bomby zaczęły się sypać na wielki port wojenny.

Nalot trwał pół godziny. Gdy olbrzymie ptaki śmierci znikły i ucichł huk wybuchów, przystąpiono do akcji ratunkowej. Ulice zaroiły się od samochodów sanitarnych i wkrótce szpitale zapełniły się rannymi. 200 tysięczne miasto poniosło olbrzymie szkody, zwłaszcza w okolicy arsenału morskiego i arsenału Mourillon. Jedna z dzielnic została dosłownie zdmuchnięta z powierzchni ziemi, a wielu jej mieszkańców znalazło śmierć pod gruzami. Już w pierwszym dniu naliczono 400 zabitych i 600 rannych. Nalot rzucił postrach na całą ludność, która tysiącami opuszcza miasto.

MARSYLIA — doświadczyła ciężkiego nalotu Sprzymierzonych w pierwszych dniach grudnia ub.roku. Pobieżne obliczenia wykazały 39 osób zabitych i 51 rannych. Jeden z samolotów spadł na dom, wznoszący się przy głównej arterii komunikacyjnej. Bomba ciężkiego kalibru spadła na bar, obracając w proch cały dom i zabijając wszystkich znajdujących się w barze gości. Taki sam los spotkał wiele innych domów i to zarówno w najludniejszych dzielnicach miasta, jak i na wybrzeżu morskim, gdzie wznoszą się wspaniałe hotele, obliczone na turystów z całego świata.

W GRENOBLE w połowie listopada ubiegłego roku zamachowcy wysadzili w powietrze prochownię niemiecką, w której było 20 ton materiału wybuchowego. Siła wybuchu była tak wielka, że leżąca w pobliżu wioska Fontaine została zupełnie zmieciona z powierzchni ziemi. Przerażona wybuchem ludność, sądząc że to nalot, biegała po ulicach miasta jak oszalała. Żołnierze niemieccy, nie wiedząc również

Jest to druga rewia. Objazd obozów jest już na ukończeniu. A potem? Potem powinno się przygotować nową, trzecią rewię, która powinna wejść na scenę w połowie marca nowego roku. Poczyniło się już w tym kierunku pewne kroki przygotowawcze, lecz nie jest to łatwe. Poza tym zespół teatralny jest materialnie samowystarczalny, tzn. utrzymuje się jedynie z tego, co osiągnie ze sprzedaży biletów wstępu. Zdobyć się na dłuższą przerwę w występach celem przygotowania nowego programu jest rzeczą niemożliwą.

Więc jak będzie? Porucznik, pochłonięty tą myślą, robi niewyraźny ruch ręką. Jak zwykle przy wojsku — jakoś to być musi. Teatr żołnierski powinien istnieć. Nie dla tych, których szczęśliwy los rzucił w pobliże miasteczek czy większych osiedli, gdzie o taką czy inną rozrywkę nie trudno, lecz właśnie dla obozów, gdzie przybycie teatru witane jest jako radosne urozmaicenie w pracy i szarym, monotonnym, barakowym życiu. Wegetacji raczej.

Był ciemny, deszczowy wieczór, kiedy szedłem do odległego o kilka kilometrów Neuenhofu. W rozbłyskach mijanych okien, w świetle mijającego mnie samochodu widać było odbijające się na mokrym asfalcie drogi gromadki żołnierzy, zdążających pod „Posthorn“, gdzie się miało odbyć przedstawienie. Restauracja, klatka schodowa, schody zatłoczone były internowanymi. Niemniej liczna była publiczność cywilna z wybitną przewagą płci mniej lub więcej pięknej. Nieduża stosunkowo i brudnawa sala wypełniła się niebawem zwartym tłumem i szmerem rozmów, dopóki oryginalny „dzwonek“ w postaci bicia łyżką w menażkę nie nakazał ciszy, zapowiadając początek. Dopiero wówczas przed kurtynę wystąpił „zapowiadacz“, żołnierz szwajcarski, zwracając się do widzów po niemiecku ze słowem wstępnym. Objaśniał on następnie pokrótce treść każdego punktu programu i inowację tę uważam za bardzo szczęśliwą.

Zanim podkreślę dodatnie strony programu, chciałbym w paru słowach zwrócić uwagę na

co się dzieje, otworzyli do bezbronnych ogień i, strzelając na chybił trafił, zabili 35 osób, w tym kilkoro dzieci. Od wybuchu prochowni zapalił się gaz w pobliskim zbiorniku, który również wyleciał w powietrze. 20 żołnierzy niemieckich, stanowiących ochronę gazowni, znalazło śmierć w morzu płomieni. Wybuch prochowni pociągnął za sobą wielkie ofiary: nie licząc zabitych, których liczby nie dało się dokładnie ustalić, było 1,800 rannych; 3,000 osób pozostało bez dachu nad głową; 200 domów zostało zniszczonych; 25,000 szyb rozbitych. Ogółem straty materialne wynoszą 70 -- 80 milionów franków.

Wkrótce po tym dokonano nowych zamachów: na koszary i gmach liceum, zajęty przez wojska niemieckie. Oba zamachy pociągnęły również straty w ludziach i straty materialne. Miasto jest w stanie ciągłego wrzenia, więc władze okupacyjne miały postanowić, że w razie powtórzenia się poważniejszego zamachu, wysiedlą całą ludność miasta. Ale wielu mieszkańców m Grenoble, nie czekając na to, już wcześniej wyniosło się do okolicznych miejscowości, gdzie odrazu cena mieszkań poszła w górę tak, że wynajmuje się je wprost za cenę złota.

Po pierwszym zamachu Niemcy przystąpili do masowych aresztowań w mieście. W ręce ich wpadły wykazy 2000 osób, należących do organizacji czynnego oporu.

Okupanci w obawie przed dalszymi zamachami sami wysadzili w powietrze wielkie zapasy amunicji, którą zgromadzili na poligonie. Śledztwo w sprawie zamachu na prochownię nie dało wyniku i bez odpowiedzi pozostaje pytanie, jaką drogą dostali się tam zamachowcy, skoro wszystkie wejścia były surowo strzeżone.

*

Władze niemieckie skazały na śmierć 16 letniego patriotę francuskiego. Wyrok wykonano we wrześniu ub. roku w Besançon. Chłopiec pozostawił rodzicom wzruszający list, który obecnie przytacza prasa szwajcarska (»Jura« a za nią »Gazette de Lausanne«).

»List mój --- pisze młodociany skazaniec --- sprawi wam wielką przykrość, ale przecież widziałem was pełnych odwagi, więc zachowacie ją choćby z uczucia miłości dla mnie.

»Nie wiecie, ile wycierpiałem w swej celi, żem nie mógł was widzieć, żem nie mógł odczuwać na sobie waszej troskliwości. W ciągu 87 dni zamknięcia w celi brak mi było więcej waszego uczucia, niż waszych paczek i powielokroć błagałem was, abyście przebaczyli ból, jaki wam sprawiłem. Nie domyślacie się, jak was dzisiaj kocham; przed tym kochałem was szablonowo. Teraz czuję, coście dla mnie zrobili i wierzę, żem doszedł do prawdziwej miłości synowskiej. Po wojnie, być może, koledzy opowiedzą wam o mnie i to, co im przekazałem. Spodziewam się, że nie omieszkają spełnić tego zadania, od dziś świętego.

»Podziękujcie wszystkim, którzy się mną interesowali. Powiedźcie im, że wierzę we Francję nieśmiertelną.

»Umieram za ojczyznę. Pragnę Francji wolnej i Francuzów szczęśliwych. Ale nie Francji pysznej i pierwszej wśród narodów świata, lecz pracowitej i uczciwej. Najważniejsza sprawa, aby Francuzi byli szczęśliwi. W życiu trzeba umieć zbierać szczęście.

»A o mnie nie troszczcie się. Zachowam odwagę i pogodę umysłu aż do końca i śpiewać będę „Sambrę i Mozę“, boś ty mnie jej nauczyła, mamusiu moja kochana.

»Żołnierze już idą po mnie; śpieszę się więc. Moje pismo jest drżące, ale to dlatego, że mam taki krótki ołówek«.

»Żegnaj. Śmierć mnie woła. Nie chcę ani opaski na oczy, ani nie chcę być przywiązanym do słupka. A jednak ciężko jest umierać. Całuję cię tysiąckrotnie. Niech żyje Francja.

Szesnastoletni skazaniec na śmierć.

niektóre drobne niedociągnięcia. Otóż wydaje mi się, że niektóre sceny można by z powodzeniem skrócić lub nawet w ogóle usunąć (np. obrazek „Na brzegu morza“). Poza tym, skoro się zważy, że jednak publika przynajmniej w połowie składała się z okolicznej ludności nie rozumiejącej po polsku, byłoby może wskazane, by program był bardziej wypełniony numerami, zawierającymi polską muzykę lub śpiew. Przecież źródła mamy tak bogate i tematy te dla Szwajcarów są tak ciekawe! Jest to klucz, który otwiera wszystkie serca. Dlaczego by nie wykorzystać go jak najobficiej?

Na wyróżnienie zasługuje przede wszystkim doskonały „zbójnicki“. Zupełnie udatnie, choć we własnym zakresie zrobione góralskie stroje — swojska nuta przyśpiewek — efektowne oświetlenie — no a do tego sprawnie i z polskim rozmachem wykonany taniec z ciupagami — wszystko to złożyło się na doskonałe widowisko, żywo oklaskiwane tak przez naszych jak przez tubylców. Z uznaniem należy również wymienić „Taniec szkieletu“, krakowiaka i mazura oraz scenkę rodzajową z weselem chłopskim; w tym ostatnim wypadku niespodziana była reakcja części miejscowych widzów, których najwidoczniej śmieszył nasz wiejski zwyczaj podejmowania rodziców pod nogi i całowania w rękę. A przecież jest to wyraz czci, okazywanej przez dzieci rodzicom, przez młodych — starym. W części tanecznej prym dzierżył oczywiście sam kierownik teatru, p. V. Libovicky.

Przedstawienie skończyło się późno. Gwarny tłum wypełnił zaciemnioną ulicę. Wracając szybkim krokiem rozmawialiśmy na temat rewii. Ganiono. Chwalono. Lecz mnie trudno było oprzeć się myśli, ile dobrej woli i wiele wysiłku tkwi w niezbyt nawet udanym obrazie i że w każdym razie uczestnicy zespołu teatralnego wnoszą swoją, bynajmniej nie najmniejszą, cząstkę do naszej wspólnej pracy, wykonywanej na internowaniu w Szwajcarii.

Witold Wroński

Kiedy koniec wojny i jaki?

Przyszłość pojedyńczych ludzi, narodów i świata całego kryje się za grubą zasłoną. Choć wszyscy zgodni są, że wiadomość tego, co nam jutro przyniesie, uczyniłaby życie człowieka nie do zniesienia, to jednak olbrzymia większość ludzi rozmaitymi sposobami stara się przeniknąć gruby mrok, osłaniający przyszłość. Jedni więc uciekają się do senników egipskich, drudzy do wróżenia z kart, z kawy itd. — sposobów tych jest ilość niezmierna — a chociaż oświecona moda szydzi z tych wróżb, to jednak często i najwięksi sceptycy chyłkiem, gdy ich potrzeba przyciśnie, uciekają się do wróżbitów, wróżek i pożółkłych szpargałów, które zawierają przepowiednie przyszłości sprzed setek a nawet tysięcy lat. A nie ulega wątpliwości, że wiele umysłów potrafiło zapuścić wzrok głęboko w mroki przyszłości i przepowiedzieć, mniej lub więcej jasno to, co miało się stać. Jedną z najwybitniejszych postaci tego rodzaju był Michał Nostradamus.

Nostradamus — piszemy to na podstawie artykułu »Dziennika Polskiego« z dnia 24 kwietnia 1943 r. — był ochrzczonym Żydem, z zawodu lekarzem i to tak dobrym, że król francuski Henryk II i Katarzyna Medici powierzali mu leczenie swoich dolegliwości. W roku bodaj 1555 (ściślej daty nie można ustalić) wydał on książkę z przepowiedniami w formie oderwanych czterowierszy, których styl jest dziwny i trudno zrozumiały, pomijając już to, że zawierają one wiele nieznanych lub przekręconych nazw i imion. Każdy czterowiersz przepowiada jakiś fakt, ale w porządku rozmyślnie zawiłym i prawie bez dat. Nie mniej jednak żadna z jego przepowiedni, poczynając od roku 1555 nie okazała się błędną — aczkolwiek zrozumienie ich było zwykle możliwe dopiero po zdarzeniu.

Oto kilka zdań, których tekst zdaje się wyraźnie dotyczyć obecnej wojny:

Liga Narodów. »Mowy z nad jeziora Genewskiego zaczną nudzić. Zebrania będą skrócone o całe tygodnie. Później będą się odbywały raz na miesiąc; wkońcu nawet doroczne posiedzenia zawiodą i bezskuteczne prawa będą potępione przez władców«.

Monachium. »Wielu przybędzie, aby mówić o pokoju z bardzo potężnymi władcami, ale ci jedynie będą dopuszczeni do ich łaski, którzy się uczynią uleglejszymi od innych. Wielu będzie chciało paktować z władcami niosącymi wojnę, ale jeden władca nikogo słuchać nie będzie«.

»Dwaj władcy — czytamy w innym czterowierszu — będą się cieszyć ze swego przymierza, ale ten, który w Afryce stoi, jest strachu pełen i trzęsie się, bo obu władców rozdziela flota wojenna. Skrwawione ramię jednego z nich nie potrafi już zapewnić panowania na morzu. Włochy zaczną się obawiać przemocy i ten z dwu władców, który jest wściekły, napełni drugiego, który jest czarny, żalem«.

»Za przyczyną Niemiec --- mówi Nostradamus --- i sąsiadujących narodów ludzie porwą się do walki o obłoki. Wszystko w niej weźmie udział: armie, floty i coś, co wygląda jak szarańcza, a błędy jeziora Genewskiego wykażą się w całej pełni«.

ŻYCIA OBOZÓW

Peilerboden – Polenboden

Gdy kogoś przeniosą na podstawie „Murzyn zrobił swoje...“ i przyjedzie pospiesznym do Chur, to tam dostanie obiad i opiekuna. Ten dowiezie do Ilanz, odda drugiemu, drugi zapakuje przesyłkę do autobusu i nada do Vals. Już noc. Tam zapytacie spotkaną fajkę, gdzie jest Peilerboden? Fajka popatrzy na wasze nogi, wskaże ręką ciemną dal i mruknie: „Drei Stunden“. Przeniesie wzrok na bagaże i poprawi się: „Vier Stunden“. Bezradność. Pytania: gdzie i jak? Nie trwa to długo. W ciemności błyska orzełek na berecie, a niewidoczna twarz pyta:

— Pan nie tutejszy? Dokąd? To daleko, iść w nocy niebezpiecznie. Lepiej tu przenocować.

To tak zwany koniarz.

Na drugi dzień rano dojście znane, punkty orientacyjne szczegółowo wskazane. Idzie się serpentyną, pod górę, noga za nogą.

Las. Pustka. Czasem sarna lub wiewiórka śmignie. Przez szczeliny lasu widać wysokie, nagie skały, piękne w swej ponurej grozie. Gdy macie już za sobą ileś tam przystanków dla złapania oddechu i otarcia czoła z potu, zobaczycie małe grupki i pojedynczych granatowo-khaki człeków. Z oddali przywitają was artyleryjskim hukiem wysadzanych skał i pojedynczym ogniem piechoty: to młoty i oskardy tłuką w granit. Z bliska witać was będą: „Czołem, czołem“, z gracją podnosząc rękę do czoła i darząc uśmiechem, który chyba tylko tęsknota i życzliwość na twarzach tak rzeźbić umie. Jeszcze kilometr, a spotkacie dowódcę, skaczącego z głazu na głaz i podśpiewującego sobie. Zameldujecie się. Przywita was mocnym, krótkim uściskiem ręki i powie:

— A to dobrze, będzie nas więcej.

Zaprowadzi do baraków, zapozna z sierżantem szefem, dryblasem o twarzy na brąz spalonej.

— Słońce tu piecze mocno. Trzeba używać dużo kremu lub wazeliny? — próbujecie zażartować.

— U nas palimy się i bez wazeliny — odburknie szef i da do przeczytania kronikę obozu.

Nie czytajcie kroniki. Dziś obóz urządza ognisko pożegnania gór i teatr nawet. Gdzie? W świetlicy obozowej

Uderzeniem młota o granit czy głowy o skałę rozpoczyna się przedstawienie. Teatr, naprawdę teatr. Scenariusz — krzywe zwierciadło z życia obozu.

W tym obozie jest porządek — swing.
Nikt na cudze się nie łasi,
bo go „Czarna ręka“ zgasi...

O kapralu Ch., kursancie z Matzingen, co to umie liczyć tylko do ośmiu, bo tyle koziołków naliczył przed rozbiciem głowy, lecąc w przepaść, i o jego wylądowaniu po jej drugiej stronie i kompresach z mleka zamiast spirytusu...

Widownia się śmieje, dowódca odcinka klaszcze w ręce i kolana sąsiadów, bo sąsiadek nie ma.

Na dworze przed barakami, po górach, po zatraconych perciach błyskają ogniska. Płyną tęskne myśli do tych, co powrotu czekają. Słowa wiary, równe przysiędze: „Wrócimy tam...“

Następnego dnia poranek jest mroźny, bezsłoneczny, zbiórka do pracy na drodze. Trzask pękającego granitu, turkot taczek, skrzypienie wózków dwukołowych. Tak przez setki dni powstała „droga Polaków“. Ma ona swoją symboliczną wymowę. Niedaleko, ale trochę wyżej, żołnierz szwajcarski z bronią u nogi pilnuje granicy, a my, Polacy, budujemy mu drogę. Pozostaną po nas jako trwa-

»Neapol, Palermo, Syrakuzy, Sycylia zaznają nowych tyranów, a siły z Londynu będą na nie rzucać z nieba błyskawice i płomień«.

»Francja będzie wstrząśnięta, a okręt jej w niebezpieczeństwie. Marsylia będzie błagać o pomoc z Zachodu«.

»Będzie dwu takich, którzy się połączą i dręczyć będą Norwegię, Bałkany i Wyspy Brytyjskie«.

Francja. »Wielki hałas będzie nad Francją, niepowołani będą się pchali do władzy, miód im będzie płynął z ust, lecz będą jak kameleony zmienne, oszuści i bajkotwórcy, a ukąszenia ich będą jak skorpiona. Niestety! Jakże wiele ucierpi kultura! Nad brzegiem wielkiej rzeki (Ren) rów ogromny będzie wykopany i ziemia poruszona, ale forteca ta nie będzie walczyć, bo zdobędzie ją złoto. W siedem dni po upadku tej wschodniej ściany wróg podejdzie pod bramy Paryża, wierny swej uprzedniej zapowiedzi. I nadejdzie wielki strach, winni się pochowają, republiki nadejdzie koniec, a przywódcy będą upadać coraz więcej. I przyjdzie książę niemiecki, a narody będą w poddaństwie i Francja niewolnicą«.

Ale Nostradamus mówi więcej: »Hańba i służalstwo będą pochwalone i wymówek będzie dość, aby nie słuchać Anglii, gdy ta powie nam: Nie podpisujcie pokoju. Rząd Francji bardzo się zmieni i przeniesiony będzie w dziwne miejsce, a przywódcą będzie ospały starzec. A ziemia francuska będzie podzielona.

O Wielkiej Brytani Nostradamus mówi: »Osiągnie ona panowanie na morzach i panować będzie przez lat trzysta. Wielkie będą wysiłki Niemiec, ale drzwi na Ocean pozostaną otwarte. Ale sama flota już nie osłoni Londynu i miasto zatrzęsie się w posadach. Za swe niedozbrojenie wyspy zapłacą krwią, lecz choć długo oblegane, będą gromadzić siły przeciw wrogowi i mniej głodu, klęski i śmierci zaznają, niż ci, którzy są poza wyspą. Niemiec zostanie zgnieciony do samej ziemi, a Anglia ujrzy, że wojna jest silniejsza od rewolucji. Zjednoczenie dwu nie będzie długo trwało i większość zmieni swoje zdanie; płaczcie, Mediolanie i Florencjo, że wasz wódz wciągnął was w wojnę, bo będziecie zwyciężone, a ci spośród was, którzy są czarni, krwią się pokryją i będziecie ofiarami czerwonej i krwawej rewolucji. I chociaż Niemcy pogrążą prawie całą Europę i świat, królestwo ich będzie się cieszyć pozornym pokojem zaledwie przez lat 9, poczym wiedzione pragnieniem krwi zacznie upadać, a za przyczyną wodza swego wielki naród bez wiary i prawa zginie, zwyciężony przez naród więcej wyrozumiały. W wielkim pojedynku niefortunny zdobywca zginie, a zwycięzca jego będzie święcił krwawy triumf. Dawne prawo i wolna konstytucja odżyją, jak równie granice«.

Inny charakter mają i są bodaj że jeszcze bardziej zdumiewające proroctwa św. Odylii z Alzacji. Proroctwa te znaleziono w klasztorze przez nią założonym w wiekach średnich i po raz pierwszy podano do wiadomości publicznej w roku 1916 przez ogłoszenie ich drukiem. Przytaczamy z nich najciekawsze urywki:

»Słuchaj uważnie, o bracie mój, bo widziałam rzeczy straszliwe. Nadejdzie czas, gdy Niemcy nazwane będą najbardziej wojowniczym narodem na ziemi i gdy z łona Niemiec powstanie straszny wojownik, który przedsięweźmie wojnę światową. Dwadzieścia narodów weźmie udział w tej wojnie. Najeźdzca rozpocznie od brzegów Dunaju. Wojna ta będzie najokropniejszą, jaką świat kiedykolwiek widział, a broń najeźdzcy będzie siać płomieniami i iskrami. Będzie on odnosił zwycięstwa na lądzie, na morzu a nawet w powietrzu, bo żołnierze jego będą mieli skrzydła i wznosić się będą do niebios, aby stamtąd rzucać gwiazdy na miasta i wzniecać pożary. Wobec powodzeń tego najeźdzcy przyszłe pokolenia dziwić się będą, że przeciwnicy jego zdołali zatrzymać potok jego zwycięstw. I wojna będzie długa, zdobywca osiągnie szczyt swego triumfu w osiemnastym miesiącu walki«.

„Ale to będzie końcem jego krwawych zwycięstw. W zaślepieniu swego triumfu zdobywca wykrzyknie: „Przyjmijcie jarzmo mojej władzy“, ale przeciwnicy jego nie ulegną i zmuszą go do dalszej walki. Wówczas zagrozi: „Nieszczęście spadnie na tych, którzy nie chcą mnie usłuchać, bo ja tylko jestem zwycięzcą«. Ale druga część wojny będzie trwała już tylko połowę części pierwszej i będzie okresem powolnego upadku.

»Ale nie będzie jeszcze pokoju — mówi dalej św. Odylia — bo dwadzieścia walczących narodów będą się waśnić i będzie to dopiero początkiem końca. Rzym pogrąży się w wojnie domowej, a półksiężyc (Turcja) połączy się z Krzyżem. Kraj najeźdzcy ulegnie inwazji ze wszystkich stron i leżeć będzie rozpostarty jako słuszna kara za swą niesprawiedliwość i swą niewiarę. Wojska jego zostaną rozbite i dotknięte ciężką chorobą, która odejmie odwagę od serc jego żołnierzy. Niezliczone miasta, skazane, zdawałoby się na zniszczenie, ocaleją dzięki swym obrońcom, a narody skrzywdzone przez najeźdzcę odzyskają swą własność, a nawet powiększą się. Wówczas narody złożą dzięki Bogu, gdyż ludzie w tej wojnie ujrzą rzeczy tak straszne, że przyszłe pokolenia nigdy więcej wojny nie zechcą«.

łe pomniki. Odejdziemy bez długów wdzięczności, bo za chleb i ciepły kąt barakowy zapłaciliśmy pracą, potem, czasem krwią i nawet krzyżami cmentarnymi.

Odejdziemy — zostanie: Polenboden. *Kajot*

Sarnen

Dzień święta narodowego był obchodzony szczególnie uroczyście, gdyż w obozie zebrało się dwie baterie: pacu i palu. Toteż obóz gościł w tym dniu dowódcę artylerii płk. D. w towarzystwie ppłk. R., oficera łącznikowego w odcinku.

Po podniesieniu flagi i odśpiewaniu hymnu narodowego udaliśmy się w szyku zwartym do kościoła. Po nabożeństwie odbyła się defilada, która oczarowała naszych dowódców, gdyż postawa i krok pokazały, że jesteśmy zdolni nie tylko do łopaty i kilofa, że po trzech i pół roku internowania nie zapomnieliśmy czym jesteśmy, po co tu jesteśmy i co nas jeszcze czeka.

Na akademię w świetlicy obozowej złożyło się słowo wstępne dowódcy obozu, występ chóru, deklamacja kol. K., przemówienie ppłk. R. i odśpiewany Roty, pieśni, która niejednemu wycisnęła łzy z oczu.

Podczas wspólnego obiadu płk. D. wygłosił krótkie przemówienie, zaś kol. Niegł. i Grzel. przy akompaniamencie gitar popisywali się grą na skrzypcach. Chór wystąpił ponownie, wykonując kilka piosenek o tęsknocie za krajem i rodziną.

Dowódca obozu, dziękując obecnym za udział w obchodzie, zaprosił ich na zawody piłki nożnej, rozegrane między zespołami obozu a drużyną chóru. Wynik meczu 1 : 1. Prawdopodobnie było to ostatnie święto 11 listopada, obchodzone na obczyźnie, a więc — w górę serca! *W. Ch.*

PRZEGRANY ZAKŁAD

(DP) Pewien Szkot żalił się do drugiego:

— Jeden żołnierz polski oświadczył mi, że może przez 10 dni nie jeść i przez 10 nocy nie spać. Powiedziałem, że to niemożliwe i założyłem się o 10 funtów:

— No, to wygrałeś oczywiście!

— Ależ skąd! Drań spał przez 10 dni i jadł przez 10 nocy!

SĄ I TACY...

Jeden rzekł: „Wnet koniec wojny
Rzecz to oczywista".
Na to drugi niespokojny:
„Nie bądź... pesymista!"

ROZBITY OGONEK



(DP) Bombowce wróciły z nocnego raidu nad Niemcy i krążyły nad lotniskiem, czekając na swoją kolejkę w lądowaniu. Nagle przez radio jeden samolot zasygnalizował:

— Proszę o pozwolenie lądowania! Przyleciałem na 3 silnikach!

Oczywiście udzielono zaraz zezwolenia i 4 motorowy Lancaster spłynął gładko na beton.

Wkrótce potem rozległ się nowy alarm:

— Pozwólcie lądować, jestem na 3 silnikach!

I znowu Lancaster z jednym unieruchomionym motorem lądował poza kolejką.

Wtedy przez radio odezwała się z nieba rozpaczliwa prośba:

— Dajcie lądować! Mam tylko dwa silniki!

Zapalono więcej światła na lotnisku i cała obsługa czekała z bijącym sercem na dramatyczne lądowanie ciężko okaleczonej maszyny.

Dwu motorowy Wellington wylądował gładko, a roześmiana załoga zawołała do skonfundowanych przyziemniaków:

— Zjedliby nam wszystką szynkę, gdybyśmy tam tkwili do końca w górze...

* * *

— Wczoraj widziałem twoją żonę...

— I co ci powiedziała?

— Nic.

— No to napewno nie była moja żona.

* * *

— Jaka jest różnica między psem a człowiekiem?

— Pies obszczekuje nieznajomych, a człowiek znajomych.

* * *

— Moja pani, może mi pani pożyczy wałka do ciasta na dzisiejszy wieczór...

— Nie mogę, moja kochana pani, bo i mój stary też jeszcze nie wrócił do domu.

Spadochroniarze

(DP) Oto dwie historie o spadochronach uznane przez publiczność angielską za najlepsze:

Zestrzelony pilot w Afryce opadał łagodnie ze spadochronem, gdy nagle ujrzał ze zdziwieniem innego żołnierza wznoszącego się ze swym spadochronem szybko w górę.

— Hi-de-hi --- wykrzyknął --- co jest z wami?

— Ho-de-ho --- odparł żołnierz --- wszystko w porządku, tylko tam wieje silny wiatr w dole, a to jest mój namiot.

* * *

Dwaj Kanadyjczycy z puszczy zgłosili się na ochotnika do oddziału spadochronowego.

— Z jak wysoka będziemy skakali? --- spytali.

— No z jakich 200 metrów! --- odparł oficer.

— Oj, to trochę za wysoko. Czy nie moglibyśmy skakać z 50 metrów?

— Nie --- rzekł stanowczo oficer --- zachodziłaby obawa, że spadochrony się nie otworzą.

— Aa --- uśmiechnęli się z zadowoleniem Kanadyjczycy --- więc my dostaniemy spadochrony?... Tak, to co innego...

Papuga

— Dlaczego pan zerwał że swoją narzeczoną?

— Ot, głupia historia: miała papugę, która wciąż wydzierała się: »Zygmusiu, daj buzi«...

— I to panu przeszkadzało?

— Nie, ale mnie na imię Stanisław, a nie Zygmunt.

Krasnoludki

Krasnoludki z wszystkich miast
urządziły w lesie zjazd.
Program zjazdu był taki:
Po pierwsze —
gdzie zimują raki?
Po drugie —
czy brody są dosyć długie?
Po trzecie —
czy zima może być w lecie?
Po czwarte —
co robić, żeby dzieci nie były uparte?
Po piąte —
skąd wiadomo, że po czwartku jest piątek?
I po szóste —
dlaczego niektóre orzechy są puste?
Pierwszy mówić miał najstarszy,
ale tylko czoło zmarszczył,
drugi mówić miał najmłodszy,
więc powiedział coś trzy-po-trzy,
potem głuchy streścił szeptem,
wszystko to, co słyszał przedtem,
ślepy mówił o kolorach
lecz przeoczył coś, nieborak,
zaś niemowa opowiedział
o tym, czego sam nie wiedział.
Mańkut milcząc spojrzał wokół,
i napisał tak protokół:
Krasnoludki z wszystkich miast
urządziły w lesie zjazd.
O czym tam się mówiło przez dwanaście godzin,
to pana, proszę pana, zupełnie, ale to zupełnie,
nie obchodzi.

J. Brzechwa

ADRESY: Redakcja: Rédaction du Journal des Internés polonais, Baden (Aargau).
Ekspedycja: Expedition du Journal des Internés polonais, Baden (Aargau), nr telef. 2.15.71.
Wpłaty dla „Gonca Obozowego" (na blank. ziel.) Postcheck-Konto: Presseoffizier für Int. Zeitung — III, 13212, Bern.

Cena „Gonca Obozowego":
dla oficerow i aspirantow Fr. 0.30
dla podoficerow i szeregowcow Fr. 0.20
dla osob cywilnych (kwartalnie) Fr. 1.80

L'Officier responsable du Journal des Internés polonais
Major CORREVON
Commissariat Fédéral à l'Internement
Poste de campagne 17